

POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka
UMCS
Lublin

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

WEEKLY FOR THE POLISH FORCES

PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 11-go marca 1944r.

Rok VI. Nr. 10

TYGODNIE, MIESIĄCE, LATA . . .

Atlantyk, w styczniu 1944 roku
Obejmując o północy służbę na radiostacji, wpisałem do dziennika radiostacyjnego datę: "1-go stycznia, 1944 roku." Koniec starego i początek nowego roku zawsze wywołuje wiele wspomnień z lat ubiegłych, oraz okoliczności, w jakich się go spędziło. Ale wczorajszy, nasz piąty w tej wojnie Sylwester, nie różnił się od innych, to znaczy, że spędziliśmy go na morzu w sztormowej pogodzie. A że musieliśmy przedtem wypłynąć z portu w dzień wigilijny, klnąc z tego powodu w zupełnie nie świątecznym nastroju na wszystkich, którzy byli temu winni — więc też i refleksje, jakie Nowy Rok wywołał, są przeważnie smutne i gorzkie.

Bo wkrótce już pięć lat dobiegnie, jak statki nasze opuściły Gdynię, wypływając w swe normalne pokojowe podróże, nie wiedząc, iż tak długo nie będzie dane im wrócić do macierzystego portu. Pięć lat już, jak załogi schodzą po ciężkim rejsie na ląd, nie dotknęły stopami polskiej ziemi. Są wprawdzie tacy, u których okres ten jest krótszy; to ci, co przeszli piekło rosyjskie lub zielone granice wszytkich krajów Europy, by wrócić na pokład swego statku, a są tacy pośród nich, którzy jeszcze parę miesięcy temu byli w Polsce.

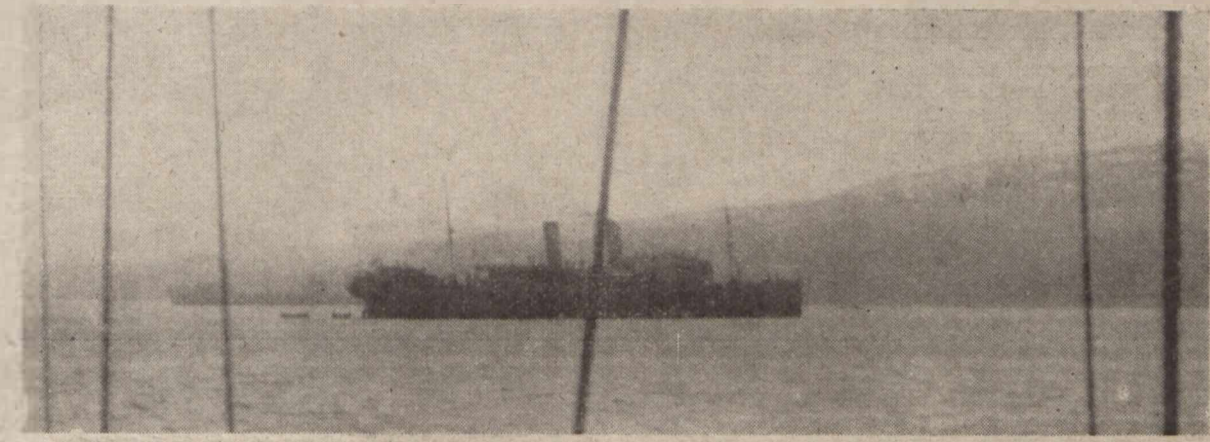
Te pięć lat i tych kilka miesięcy, każdy z załogi spędził na froncie, na froncie, który ma tylko jedną linię — pierwszą.
Linia ta opasuje glob w różnych kierunkach, i wszędzie gdzie przeciska się przez cieśniny, i tam gdzie prostą kreską przecina olbrzymie połacie oceanów — tam wszędzie są nasze statki i załogi. Były także na "szlaku murmańskim," wozily w ciężkich i najcięższych warunkach ładunki do Rosji. O tym warto przypomnieć. Zwłaszcza teraz . . .

Linia ta szerokim pasem biegnie poprzez trzy tysiące mil Północnego Atlantyku, jakie dzielą Anglię od kontynentu amerykańskiego. Była ona mocno nadszarpywana w ciągu tych lat, i wzdłuż tej linii najcięższe toczyły się walki i obie strony poniosły największe straty. Lecz teraz, gdy szale Bitwy o Atlantyk zdecydowanie przechylily się na naszą korzyść, należało by przypomnieć społeczeństwu, że w bitwie tej brały i nadal biorą udział nasze statki i załogi. I ponoszą straty . . .

Bo o tym coraz bardziej się zapomina . . .
Modna i fotogeniczna jest Marynarka Wojenna. Prasa co tydzień podaje, ile ten lub ów okręt przebył mil, ile nieprzyjacielowi zatopił, ile razy ochraniał konwój i ile razy wystrzelił przy tym z dział. Gdy któryś z okrętów wojennych zatonie w walce, w krótkim czasie pojawia się w prasie notatka o tym, a w ślad za nią sypią się dokładne opisy wypadku, indywidualnych wyczynów załogi, oraz fotografie odznaczonych — z przodu, z tyłu, z lotu ptaka . . . Cenzor puszcza to wszystko.

Należy im się to i my jesteśmy pierwsi, by się z tego cieszyć. Zasługują na podziw i szacunek nas wszystkich, tym bardziej, że nie mając prawie przed wojną możliwości wypłynięcia poza półwysep helski — dziś takie sukcesy odnoszą na szerokich wodach. Dowodzi to, jak szybko Polacy umieją dostosować się do każdych warunków.

Gdy natomiast statek handlowy rozerwany torpedą lub bombą lotniczą, idzie na dno — o tym, jak zginęła jego załoga wiedzą tylko ci, którym dane było się uratować.



W prasie ani mru-mru! Cenzor nie pozwala . . . — podobno! "Jeżeli już muszą ginąć — niech to robią po cichu" — dodaje.

Straciliśmy już w tej wojnie dużą, jak na nas, liczbę statków, lecz mimo iż niektóre z nich zatopione zostały już parę lat temu, do tej pory nie wolno wspomnieć o tym ani słowem.

Statki handlowe i ich walki nie są tak fotogeniczne i nadające się do opisów, jak okręty wojenne i ich walki. I nie mają korespondentów wojennych na pokładzie. Ni operatorów filmowych . . . Więc to, co uczynią dla sprawy naszej swą walką i pracą, pozostanie z konieczności ich "tajemnicą" i nawet pokolenia, które przyjdą po nich, by władać polskim morzem, wiedzieć o tym nie będą.

A przecież morze i wszystkie związane z nim sprawy, winny stać na jednym z pierwszych miejsc w naszej propagandzie — zwłaszcza tej na wywóz. Wszak my przy konferencji pokojowej będziemy domagać się słusnie nam się należących statków niemieckich, o odpowiednim do naszych potrzeb tonażu — a fakt ten może być niespodzianką dla przeciętnego Anglika, a tym bardziej Amerykanina, którzy o istnieniu Polskiej Marynarki Handlowej i jej pracy nie wiedzą. I nie należy się im dziwić, bo jeszcze wielu Polaków, tu na emigracji o tym nie wie. Wiedzą o "Orle," "Wichrze" czy "Burzy" . . . Co setny słyszał kiedyś o "Piłsudskim," lecz o flocie handlowej, tych małych odrapanych sztormami statkach, pływających w ciężkich warunkach po wszystkich morzach świata, wie zaledwie maleńki procencik tych, którzy się w ten czy inny sposób z nimi zetknęli.

A statki te i załogi pracują i walczą już tyle lat!
A jakie jest ich życie? Oto streszczona historia jednego z nich i historia życia jego załogi od września 1939 roku:
Gdy wybuchła wojna w Polsce, statek ten /znów bez nazwy, bo nie wolno/ znajdował się na morzu w drodze do Egiptu. Dla otrzyma-

nia nowych instrukcji zaszedł do Gibraltaru, skąd po paru dniach wypłynął, by oddać ładunek w porcie przeznaczenia. Później, przez całą zimę i wiosnę, aż do chwili upadku Francji, pływał między portami Bliskiego Wschodu a Anglią.

Były to czasy, kiedy statki nie posiadały jeszcze żadnego uzbrojenia, i prawie każdy atak nieprzyjacielskich samolotów kończył się zatopieniem zaatakowanego. Odbywało się to mniej więcej w ten sposób, że samolot latał sobie nad statkiem ile razy i jak długo mu się podobało, i rzucał bomby, lub urządzał sobie ćwiczenia w strzelaniu z karabinów maszynowych do ruchomego celu; z tym, że celem był statek. Do roli zaś załogi należało: znaleźć sobie jak najszybciej schronienie gdzieś za windą ładunkową, lub leżeć plackiem na pokładzie i ewentualnie grozić pięściami.

Na niektórych statkach, załogi porobiły drewniane sylwetki dział i karabinów maszynowych dla odstraszenia niemieszkańców, i nawet dla większego prawdopodobieństwa, pełniono przy nich służbę. I nie jeden raz to pomogło!

Wiosną 1940 roku, Niemcy wprowadzili swą pierwszą w tej wojnie "tajną broń" — miny magnetyczne. Wprowadzenie jej zaskoczyło Aliantów i zanim wynaleziono środki zaradcze, wiele dobrych statków poszło na dno u brzegów angielskich, w zatokach i u ujścia rzek.

Nieraz atlantycki konwój przybył na redę portu, lecz po rozwiązaniu go, żaden ze statków nie miał ochoty wchodzić pierwszy, dając innym pierwszeństwo wylecenia w powietrze i "przetarcia" wejścia. Piloci zaś portowi, wchodząc na pokład, natychmiast wdziewali pasy ratunkowe, radząc nam, byśmy zrobili to samo. A później mijając sterzące z wody wraki, mówili, kiedy i jak szybko który z nich poszedł na dno. "Morze przepłynął — u brzegu zatonał" . . .

W czasie upadku Francji, statek, o którym mowa brał udział w ewakuacji polskich oddziałów

wojskowych, cywilnych uchodźców i obywateli alianckich. Odbywało się to w czasie, gdy już na północnym brzegu wyjścia z portu znajdowały się pierwsze oddziały niemieckie.

Wówczas to, z broni jaką nasi żołnierze przynieśli z sobą /bo jej nie rzucili/ stworzono na statku coś w rodzaju obrony przeciwołowniczej, i załoga zamiast grozić pięściami, tłoczyła się przy karabinach, gdy tylko dał się słyszeć szum samolotu.

A później statek rozpoczął rejsy atlantyckie do Ameryki Północnej . . . i na tym kończy się jego historia. Właściwie to nie kończy się, bo statek nadal, to jest przez blisko cztery lata bez przerwy pływa po Atlantyku między Anglią a Stanami Zjednoczonymi.

A historia tych rejsów?
Można by ją pisać, albo dzień po dniu, albo w kilkunastu zdaniach zamknąć historię każdego ataku, od czasu, gdy Niemcy atakowali pojedynczymi okrętami podwodnymi i dalekosieżnymi bombowcami "Focke Wulf," aż do czasu, kiedy wprowadzili system atakowania przez t.zw. "wolf packs" — stadami wilczyimi, gdy kilkadziesiąt okrętów podwodnych, przy współpracy samolotów, przypuszczało skoncentrowany atak na konwój.

Ile razy w ciągu tych lat statek był atakowany, ile razy po rozbiciu konwoju przebił się sam przez koncentracje okrętów podwodnych, i ile razy w pojedynkę bronil się atakom z powietrza — pozostanie tajemnicą Dziennika Okrętowego, oraz archiwum naszego Ministerstwa Żeglugi.

A jest tam wiele ciekawych zapisów, może lakonicznych, ale mówiących tak wiele. Bywa wiele dni z rzędu, gdy obok normalnych zapisów o pogodzie, wietrze i kursach, codziennie wpisane są numery statków, które poszły na dno. A za tym jest cała historia pięć — sześciogodniowych ataków niemieckich "wolf packs."

Zapisy o pogodzie są dość monotonne. Przez osiem do dziesięciu miesięcy każdego roku, powtarzają się stale te same: "Wiatr SSW

8 — 9, 9 — 10, fala zalewa pokład i ładownie," "Fala zerwała szalupę ratunkową z prawej burty . . .", "Fala zmyła następującego ładunek pokładowy . . .", "Fala złamała nawiewnik na przednim pokładzie . . .", "Statek bije dnem o fale . . .", i t.d., i t.d., dzień za dniem, i rok za rokiem.

Ładunek bywa różnorodny, ale nie było jeszcze rejsu, by statek nie wiozł, ileś tam setek ton dynamitu, bomb, i innych za najmniejszą prowokacją wybuchających materiałów.

Zdania załogi o ładunku, dzielą się. Optymista mówi: — "Nie mam nic przeciwko mieszkaniu na dynamicie, ale uważam, że powinni nas zaopatrzyć raczej w spadochrony, a nie korki ratunkowe. Bo my przecież, gdy nas trafia, nie będziemy tonąć, ale lecieć w powietrze!" — A na to odpowiada pesymista: — "Nic Ci to nie pomoże, bo polecisz tak wysoko, że spadając ze spadochronem, umrzesz z głodu."

I pływają nadal, śpiąc, jedząc i mieszkając na dynamicie. Choć czasem, po szczególnie ciężkim rejsie, któryś poprosi o przeniesienie go na inne rejsy, gdzieś na południe, gdzie mógłby nadwyżęzone nerwy wygrzać i uspokoić w tropikalnym słońcu.

Tak mniej więcej wygląda wojenne życie jednego ze statków Polskiej Marynarki Handlowej. Chociaż dla uzupełnienia obrazu, należy dodać, że załoga dużo klnie. Klnie się najczęściej na lądzie — w Londynie — dokąd po rejsie każdy stara się wyrwać choćby na jeden dzień. A klnie się szczególnie dużo po wycięciu na Lowndes Square, gdzie za każdym razem nawiązuje się mniej więcej taka rozmowa:

—A Pan z jakiego statku?
—Ja jestem z m/s X . . .
—A dokąd Panowie pływacie?
—Do Ameryki . . .
—O-o-o-o! — O jacy wy jesteście szczęśliwi! Jakież to musi być ciekawe! A przywiózł Pan może jakie pończochy, lipstick lub czekoladę?? Bo widzi Pan, ja nam tyle znajomych . . .

—Wie Pan, mamy trudności w otrzymaniu dolarów . . .

—No ale przecież to taka drobnotka! — Ja Panu zaraz dam listę, czego mnie potrzeba . . .

I po paru minutach, ma się w kieszeni listę długą na metr. A na odchodnym, "urzędująca osoba" woła jeszcze:

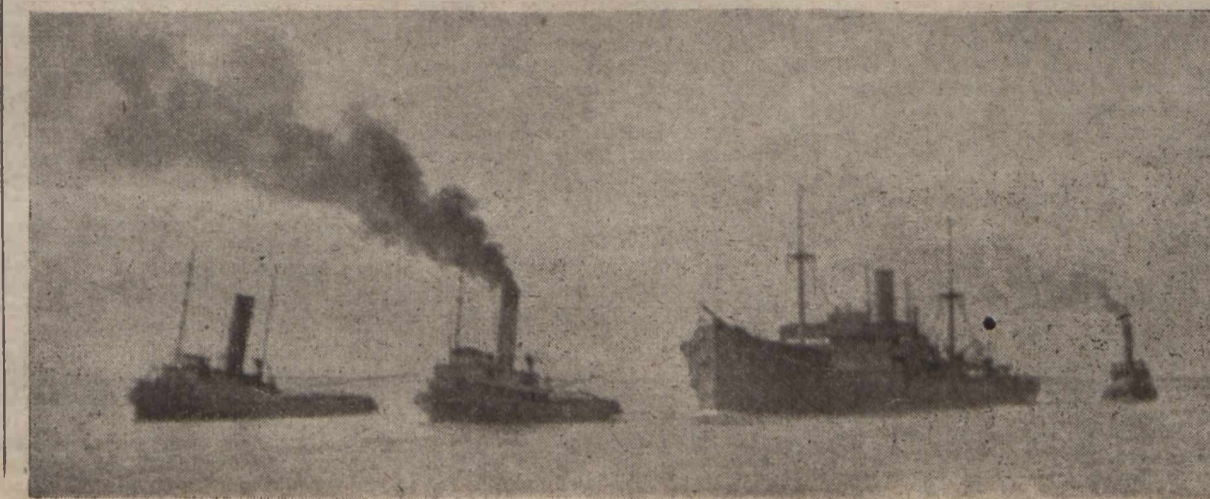
—Tylko niech Pan nie zapomni!!!

—Nie, nie zapomnę — odpowiada pływający i — trzaska drzwiami.

Dlaczego to wszystko napisałem?

Dlatego, że też bywam w Londynie i też otrzymuję długie listy zakupów od każdego napotkanego Polaka, który zwykle dopiero wtenczas dowiaduje się o istnieniu Marynarki Handlowej i czym prędzej pragnie ją wykorzystać. A poza tym licho mnie bierze, bo wszędzie biorą mnie za Anglika, nie wierząc, że poza O.R.P. "Garland," "Wilk," czy "Sokół" Marynarki Wojennej, istnieje także m/s "L . . .", s/s "S . . .", s/s "K . . .", i wiele innych — cała Polska Marynarka Handlowa. Więc wywróciwszy znaczenie polskiego przysłowia "Co jest dobre — to się samo chwali" do góry nogami, napisałem to — o nas samych.

STEFAN F. GAZEŁ



Polska — żywymi oczami

Dziecko i matka*



W czasie łapanki ulicznej

W smutnych dniach wojennych najsmutniejszy chyba jest los dziecka. Dzieci polskie, tysiące razy osierocone, wygnane z domu, wywożone wysiedleńczymi pociągami z Poznańskiego, Zamojszczyzny, Lubelszczyzny, dzieci z ghetta gnane do pociągów straceń — już w czwartym, piątym roku życia patrzą na świat przedwcześnie dojrzałymi oczami ludzi dorosłych, wszystko już rozumiejących.

Praktyki wysiedleńcze pociągnęły za sobą tysiące ofiar wśród dzieci. W latach 1939 — 40 — 41 w czasie niezwykle ciężkich zim przeprowadzano wysiedlenia z Poznańskiego, Pomorskiego, Żywieckiego, Hrubieszowskiego i wielu innych. Nieopalone, bydle-

ce wagony, którymi przewożono nieszczęśliwych przy 30 stopniach mrozu stawały się jakże często grobem dzieci, gasnących w ramionach matek na zapalenie płuc, niemowląt, po prostu kostniejących na śmierć. Obozy zbiorowe, przez które przeszły setki tysięcy polskich rodzin były najstraszliwszymi kaźniami dla dzieci. Wysiedleni pozostawali w tych obozach przez parę tygodni, bez ciepłej odzieży, bez pościeli, w brudzie, robactwie, wśród szalejących epidemii. Kaszel i bezsilny płacz dzieci był jedynym głosem obozów, w których milczący ludzie czekali na najgorsze.

Ostatnie wysiedlenia z Zamojszczyzny uderzają jeszcze dotkliwiej w dzieci. Wobec gwałtownego zapotrzebowania na siły robocze, Niemcy dokonywali już w obozach zbiorowych rekrutacji robotników. Zaliczano wszystkich zdolnych do pracy odrywając nawet matki od niemowląt. Dzieci zupełnie osierocone, lub w najlep-

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru," druk w nr. 6 i "Życie ulicy," druk w nr. 7 "Wobec wydarzeń wojennych," druk w nr. 8 "Polski Walczącej" z b.r.

W obrabowanym mieszkaniu



szym razie pozostające na opiece zniedołężniałych starców są skazane na los najsmutniejszy. Głód, bezdomność, życie ulicy, staje się udziałem tych wojennych sierot. Były pociągi z dziećmi wywiezione w nieznanym kierunku, były gromadki dzieci zdrowych, używanych w szpitalach niemieckich dla transfuzji krwi.

Trudno określić dziś ile bezbronych maleństw padło ofiarą ostatnich akcji pacyfikacyjnych w Lubelszczyźnie, ile spłonęło w domostwach, w których zamykano mieszkańców przed podpaleniem opornej wsi. Żydowskie dzieci zginęły wszystkie w komorach gazowych. Widziałam w zeszłym roku w Rzeszowie na stacji trzy pociągi straceń z ghetta warszawskiego. Przez zakratowane kołczastym drutem okienka bydlęcych wagonów wyglądali ludzie obłąkani strachem, obojętni już najczęściej z rozpacz. Najtragiczniejsze jednak były twarzyczki dzieci z zaciekawionymi i wesołymi nieraz oczami, drobiazgu, zdążającego z uśmiechem nieświadomości na straszną śmierć.

Potęga hitlerowska wypowiedziała walkę dziecku polskiemu i prowadzi ją konsekwentnie przez cały czas wojny. Bronią najbardziej skuteczną i groźniejszą w skutkach od mordów i wywózki jest stałe głodzenie dzieci. Przydziały wyznaczone dzieciom zaspakajają około 15% zapotrzebowania żywnościowego. Jakościowo przydziały te wykazują brak ponad 90% tłuszczu, 80% białka, 50 — 60% węglowodanów. Zupełny brak witamin pogłębia tragedię najmłodszych ofiar okupacji niemieckiej.

System kartkowy obejmuje tylko dzieci miast. Dzieci wiejskie głodują na przednówku, który obecnie zaczyna się nieraz już w marcu. Lekarze wielokrotnie stwierdzili wypadki śmierci głodowej, zwłaszcza na Podhalu. Puchlina głodowa wśród dzieci szerzyła się nagminnie w Małopolsce Wschodniej.

Społeczeństwo próbowało uchronić część dzieci przed puchliną głodową, przewożąc je do województw mniej dotkniętych. Dzieci siedziały skulone na wypożyczonych ciężarówkach, splakane po rozstaniu się z rodzicami, na szerniałych twarzyczkach malowała się najzupełniejsza obojętność. Ożywiały się jedynie na widok jedzenia. Lykały z błyskawiczną szybkością podawaną im zupełnie czarny gliniasty chleb. Po jedzeniu patrzyły łapczywie na dalsze talerze, zdawało się, że nic nie zaspokoi ich głodu, a zwłaszcza lęku, że jutro już nie będzie co jeść. Po kilku transportach Niemcy zabronili przewożenia, twierdząc, że "wszelki ruch ludności pogarsza sytuację żywnościową w Gubernatorstwie."

Badania lekarskie wśród dzieci szkolnych dały zastraszające rezultaty: w jednym ośrodku w grupie 964 dzieci szkolnych stale gorączkujących było 743, w grupie dzieci w wieku przedszkolnym na 475 badanych było 401 dzieci gorączkujących. Oczywiście w tych warunkach gruźlica zbiera obfite plony, a śmiertelność wśród dzieci wzrasta z dnia na dzień.

W pierwszych latach wojny społeczeństwo próbowało ratować dzieci, organizując przez opiekę społeczną sierocińce, kuchnie, kolonie i półkolonie, domy wypoczynkowe i dożywianie w szkołach. Ogromną pomocą w tej akcji były obozy amerykańskiej "Commission for Polish Relief." W r. 1942 ta akcja doszła do pięknych wyników i objęła 240.000 dzieci.

Niestety i ta łyżka strawy podana głodującemu dziecku wywołała "święte oburzenie" okupanta. "Niemieckie dzieci giną pod bombami — nie czas na pomaganie polskiemu szczeniętom" odpowiada bez żenady w niemieckim "Abteilung für Soziale Fürsorge." Latem 1942 zlikwidowano wszystkie ośrodki pomocy dzieciom, nie pozwolono nawet na podawanie w szkołach kubka lichej ziemniaczanej zupy. Na wiosnę 1943 r. bezwarunkowej pomocy opieki społecznej domagało się 525 tysięcy dzieci wygłodzonych i półnagich — dziś liczba ta na pewno znacznie jeszcze wzrosła. Nie pozwolono nawet na organizowanie półkolonii bez dożywiania, ponieważ dzieci

w czasie zabawy, "maszerują i śpiewają patriotyczne piosenki." Dzieci polskie nie mają w swym kraju nawet prawa do zacerpnięcia świeżego powietrza. Zieleńce, ogrody i nawet nędzne skwery są "nur für deutsche Kinder."

Dzieci polskie nie mają obrony Państwa, nie mają szkół ani własnego Ministerstwa Opieki Społecznej, ale te, które jeszcze nie są sierotami, mają najczulszą i najpewniejszą opiekę matczyną. A matki w Polsce cudów dokazują, aby jednak na przekór wszystkiemu wyżywić i odziać dzieci. Nadludzkim trudem, mimo zupełnej niepewności losu, gromadzą żywność, wywalczając zarobki i opał w świecie opornym i wrogim.

Kobieta polska jest dziś żołnierzem w ogniu walki i wykazała w niezmiernie trudnych warunkach życia okupacyjnego ogromną dozę odwagi, wytrwałości, i zapobiegliwości. Dzieje tej wojny na wewnętrznym froncie, są nierozważalnie związane z czynem kobiety polskiej. W olbrzymiej większości wypadków kobieta pozostała osamotniona. Mężczyźni wyszli na emigrację, zostali internowani za drutami jenieckich obozów, zginęli w obozach koncentracyjnych i w kaźniach więzień.

Kobiety czekają wiernie na nieobecnych mężów, pewne, że wrócą do nich ci sami. Kobiety nie uginają się pod ciosem żalobnych wia-

nym wieczorem do znajomych chłopów, przynieść pod ciągłym strachem rewizji, pobicia, więzienia — litr mleka, parę deka masła, i walczyć, walczyć dalej każdego dnia z anemią, z podgorączkowymi stanami niszczącymi zdrowie synka, z upadkiem siły starszki matki. W najbiedniejszej rodzinie, póki nie braknie kobiety — oczy dziecka mogą z ufnością patrzeć na otwierające się wieczorem drzwi. Jakże te dzieci truchleją o bezpieczeństwo matek, jak starają się okazać swe przywiązanie. Ich zbyt rozsądne zachowanie napawa nieraz trwogą i najgłębszym żalem.

Miałam w swym najbliższym otoczeniu dwóch chłopczków, którzy stracili ojca w Manthausen. Starszy 10-letni stał się najczulszym opiekunem 5-letniego brata, i prawdziwym przyjacielem swej ciężko pracującej matki. W dniach rozpacz, po nadejściu tragicznej wiadomości, zajął się małym tak troskliwie, że matka nie potrzebowała się o nic troszczyć. Uczył go pisać i czytać, sam poza nauką gimnazjalną na tajnych kompletach zarabiał wycinaniem zabawek z dykty. Czasem po pracy wracałam wraz z ich matką do domu. Chłopcy stali codziennie pod drzwiami. Trzymali się za ręce, oczekując na dzwonek, obawiając się, że matka może nie wrócić.

Inny 4-letni chłopczyk, którego ojciec zginął w Oświęcimiu, żył



T.zw. "dzikie dzieci," które utraciły rodziców wskutek akcji wysiedleńczej

domości. Nie cofają się przed żadnym ciężarem i żadnym obowiązkiem. Osobno postaramy się jeszcze naszkicować sylwetkę kobiety, podziemnej bojowniczką, o wolność: łączniczki, kurierki, dziennikarki, nauczycielki tajnej.

Więzione, wywożone, gnębione tak jak mężczyźni, są dziś trzonem rodziny i opiekunami starców i dzieci. Ciągłą trudem ponad siły dwa, a nawet trzy zarobkowe zajęcia, pozbawione pomocy służby domowej, piorą, gotują, szorują schody, noszą węgiel / jeżeli jest... / Uczą pozbawione szkoły dzieci. Żyją jedną myślą przetrwania i doczekania lepszych dni.

Panie, które przed wojną spędzały cały czas w kawiarniach, dziś zapomniały o istnieniu fryzjera i modystki. W ciemne, mroźne ranki biegną do pracy, stukając drewniakami. Wracają do domu obładowane torbami z cudem zdobytymi ziemniakami i kaszą. Kostnieją z zimna za ładami sklepów, stukają odmrożonymi palcami w klawisze maszyn do pisania, przeprowadzają niekończące się kombinacje handlowe: zamiennie, i jednak — każdego dnia mają co dać dzieciom jeść.

Trochę marmolady do wiecznej jaglanej kaszy, trochę słodkiego soku do ohydnej jęczmiennej siekanki wywoła radosny uśmiech na ustach dziecka i da matce szczęście dobrze udanego dnia. Długimi kilometrami warto wędrować póź-

w bezustannej bojaźni, że "Niemcy złapią mamusię." Co wieczór przeżywał stany lękowe przed położeniem się do dużego francuskiego łóżka, w którym sypiał wraz z matką. Gdy raz zaniepokojona rozszerzonymi ze strachu oczami dziecka, próbowałam mu wytłumaczyć, że nie powinien bać się nocy, odpowiedział: — "Zawsze śni mi się, że zabrali mamusię, muszę dopiero "nogą popatrzeć," że to nieprawda, ale i tak muszę płakać." Maleńki nie zdawał sobie zresztą sprawy z utraty ojca. Tłumaczył matce: — "Nie płacz, tatuś teraz umarł, ale po wojnie wróci do nas." Śmierć ojca w dalekim obozie nie była dla niego rzeczową stacją, jednak lęk o jedyną opiekunkę był ciężarem ponad siły dziecka — jednego z tysięcy dzieci polskich w tej sytuacji.

Pierwszą troską naszą po wojnie musi być przywrócenie dziecku jego własnego, szczęśliwego, i beztrudnego świata. Nie wskresimy tysięcy dzieci poległych w nierównym walce z okrutnym i podłym wrogiem, ale możemy ogrzać, nakarmić i odziać biedactwa wychudzone, wynędzniałe i wstrząsane dreszczem gorączki. Wielkich trzeba będzie wysiłków, żeby przywrócić nie tylko rumieńce na szerniaste z głodu twarze, lecz i beztrudny uśmiech do przerażonych i splakanych oczu.

Nad wielką wodą

II*

O *Coastal Command* mówią powszechnie, że nie ma żadnych przywilejów floty, a wszystkie utrapienia lotnictwa. Bóg jeden wie i my sami, ile w tym ponurej prawdy. Warunki zresztą są tylko kwestią przyzwyczajenia — życie ma inny smak, gdy się doń wraca po pracy. Inaczej wtedy śmieją się kobiety i inny jest zapach perfum, a nawet słońce, zwykle słońce inaczej świeci w Londynie, niż u nas. Choć może nie jest tak bogate w piękno, jak w dzień pogodny na Atlantyku.

Ten urok pracy i powrotów nęci, przyciąga jak narkotyk. Bez niego życie jest niepełne i głuche. Bez niego życie w ogóle nie ma sensu!

Więc tu, w odległych światach znoju, w zapomnianych zakątkach

lisy jak do snu pomrukiem silniki i wabią oczy barwne, fantastyczne kształty chmur. Słowo w słuchawkach jest groźbą — groźbą walki na środku Atlantyku.

Lotnictwo Obrony Wybrzeża pokryło siecią swych patroli Biskaję, pokryło i Atlantyk. Zrobiło to tak dokładnie i sumiennie, że następca Raedera, Grossadmiral Doenitz, rwał sobie włosy z głowy. *Coastal Command* pokazała co umie: niepokonany dotychczas, podwodny korsarz mórz, znalazł przeciwnika. Zaczęły nie wracać okręty podwodne. Początkowo pojedynczo, z rzadka. Później coraz częściej i częściej. Atlantyk zrobił się mały — nie było dnia, by okrętów nie atakowano. Na miejsce zestrzelonych "Wellingtonów" i ich nowszych

kiędyś hołd tym naprawdę bohaterom. Dzięki nim druga runda walki o Atlantyk została wygrana. Pojedyncze "paczki" okrętów, które mimo wszystko okrężną drogą przesiąkały w strefy operacyjne konwojów, umiejscowione i "plotowane", przestały być groźne dla wypożyczanej i ruchliwej eskorty. Zresztą tam również czuwał wszędzieobecny i szybki samolot /z baz lądowych lub lotniskowca konwoju/.

Przyszedł ponowny rozkaz powrotu wszystkich niemieckich okrętów podwodnych do baz — szansa walki nie było prawie żadnych. Ustały meldunki o sprostowanych okrętach podwodnych. Samolot zwyciężył.

Gdy jesień 1942 roku była rekordowym okresem zatopień tonnażu Sprzymierzonych przez niemiecką ofensywę podwodną, już pierwsze miesiące zimowe tegoż roku dały wyniki pracy *Coastal Command*, ograniczając wydatnie straty. Co więcej, wzrosła liczba okrętów zniszczonych przez samoloty.

Pierwsze miesiące wiosny 1943 roku pogłębiły ten obraz jeszcze bardziej, składając straty niemieckiej floty podwodnej w większości, w ręce lotnictwa. *Navy* zajęła rolę biernego świadka tych zapasów. "Paczki" okrętów podawano sobie z rąk do rąk, w zależności od zasięgu patrolujących poszczególne rejony maszyn. Po prostu "wykańczała" okręty będące poza zasięgiem lotnictwa. A zasięg ten był bardzo duży.

Tymczasem na niebie zmagano się o przewagę w powietrzu. Weszły do akcji nowe eskadry *Luftwaffe*. Zaczął się akt trzeci tragedii atlantyckiej.

W bitwie tej, toczony nad ogromną przestrzenią wód i chmur, gdzie wypiętrzone cumulusy były tak samo schronieniem, jak i kryjówką do ataku, przemyciły się ostrożnie maszyny badając każdy cal, każdą milę kwadratową przestrzeni w poszukiwaniu samolotów wroga. Załogi powracające z lotów miały obolałe, opuchnięte od wypatrywania oczy.

A Niemcy hulali! Wychodzili w morze siłą, dufni w przynajmniej przewagę sprzętu, ilości i uzbrojenia; botaterscy wobec samotnych "Wellingtonów." Zdarzało się, że nawet "Liberatory" z Bardzo Dalekiego Zasięgu atakowane były przez formacje myśliwców niemieckich w składzie dwanaście maszyn i więcej!

Nasi myśliwcy dwoili się, troili, kleli w sposób straszliwy, lecz nie mieli szczęścia. Niemcy dysponując zaskoczeniem taktycznym, zjawiali się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewał, i znikali jak duchy. Doszło do tego, że spędzili nas z dnia, zostawiając go szybszym i lepiej uzbrojonym kolegom. Przeszliśmy w noc.

W Dyonie pamiętano ostrzeżenie zaginionych załóg i latano indywidualnie, "na nosa." Ogólną zasadą było: za wszelką cenę nie dać się zaskoczyć! To był jedyny, możliwy ratunek. Ciężkie to były dni, gdy wielogodzinne loty schodziły w nieustannym czuwaniu na najwyższej granicy napięcia nerwów. Na krańcach wydolności fizycznej. Sąsiedni dywizjon angielski, miał nowe straty i kilka ciężkich, cudem przetrzymanych spotkań. Aż przyszedł dzień, który przełamał passę niepowodzeń i otworzył ostatnią już chyba, wspaniałą kartę Bitwy o Atlantyk.

Dnia 6 września oficer służbowy Dyonu wpadł na śniadanie jak bomba: — "Nasza 'Emka' nadała S.O.S. Wiecie?" i wypadł za drzwi nim kto zdążył zapytać o szczegóły.

Nad lotniskiem rozgrywała się tragedia. Cichy, prawie bezimienny epos, który w życiu lotni-

czym się nie liczy, który jest chlebem codziennym, oczywistością. Konflikt instynktu życia z poczuciem obowiązku i przywiązaniem do maszyny. Pewnego rodzaju *fair play*, która nigdy nie będzie zrozumiana przez ludzi, którzy nie latali.

Ratowano śmiertelnie rannego "Wellingtona" na ostatnich kroplach paliwa. Przez kręgi eteru płynęły szybkie puls fal, niosących prośbę i odpowiedź — radę. Mikrofon w *Flying Control* drgał dramatycznie. Słowa padały wolno i jedwabnie, pieściły się w pełne, dźwięczne kształty. Mikrofon chłonał odpowiedź i niósł w powietrze.

— "...hallo "M" for mother — "M" for mother—you may land — you may land... we are ready."

jęcych, objęły całą maszynę, spełniały. Gwałtowny unik, jeden, drugi. Znowu seria, powietrze wyżarzone ogniem. Chmura, cień — i, koniec chmury! Znowu ogień, strzelają strzelcy. Smród swąd, trzask i płomień. Wali się do wody "Ju. 88," z boku nowe dwa i z przodu i z tyłu! "Wellington" wije się w cudacznych skrętach, świetne ogniki pocisków krzyżują się ze wszystkich stron. Pryska odstrzelona kopułka astro — w ustach smak krwi. W płomieniach idzie w dół zestrzelony "Ju. 88." Strzelcy strzelają. Nowe serie... Uniki... Uniki! Chmura. Cień! Łagodny skręt na "jedenkę." Bezpiecznie...

Nikt nie powiedział nawet słowa, nawet nie zdążył otworzyć mikrofonu. Do bazy poszło tylko



Startujący "Wellington"



W stronę "wielkiej wody"

foto Krydner

globu, gdzie teżeje wola i hartuje się charakter człowieka, rodzi się radość. Prymitywna, ludzka radość zamknięta między materialnym światem zmysłów a metafizycznym światem Boga. Radość życia.

Tu, na krańcach bocznie kolejowych, w poświście wichrów i skośnych strugach deszczu, na zapadłych, odciętych od świata Stacjach, żyje Lotnictwo Obrony Wybrzeża. Żyjemy my. W przewiewnych, zimnych "beczkach śmiechu" gnieździ się *ad infinitum*, bo tak mniej więcej długo trwa nasza operacyjna tura.

Jak mówi żart, nawet Bóg przychodzi do nas tylko raz w tygodniu — ze Mszą Św. Poza tym pustka, skały dzikie, utopione wśród skal lotnisko i mewy. Mewy, które krzyczą ludzkimi głosami.

W tej rozmokłej, pozornie przeraźliwie niezmienniej nudzie pracy i otoczenia, płynie wegetacja automatów, ciągle niezmiennych zadań, zawsze tych samych dróg. Dróg wytyczonych w nierealnym świecie rozpiętym między niebem i wodą. Z rzadka przerwie ją palba broni maszynowej, czy ożywi łoskot rzuconych w ataku bomb. Jak w piekielnym zegarze wyznaczonym na dni i miesiące, kręci się życie w kołowrocie startów, patroli i powrotów. Gdy morze wciąż jest to samo, ironiczne i groźne.

Czy słońce świeci, czy deszcz pada, w gęstej mgle, czy mroźnych szkwałach sunie korowód maszyn w dalekie, odległe wody na loty po godzin dziesięć, piętnaście i więcej! Z jedyną wiarą, z jedną nadzieją, że przeciw silnik nie zawiedzie, że bomby celnie wybuchną. Tak jest — dniami i nocą.

Nie mamy możliwości ucieczki, niepotrzebne są nam spadochrony. Nie znamy przymusowych lądowań — Atlantyk jest wielki. Zawieszona w przestrzeni załoga na setki mil od bazy zdana jest tylko na własne siły i sumiennosc mechaników. Na zręczność nawigatora i oczy strzelców. Tu, błąd popelnia się tylko jeden raz, a każdy galon paliwa jest substancją życia.

I idą maszyny, muszą iść, bo dzień za dniem i noc za nocą wychodzą z portów niemieckie okręty podwodne i przecinając nam traki idą na żer. Płyną na Atlantyk. Więc "Wellingtony," "Liberatory," "Halifaxy," "Cataliny," i "Sunderlandy" idą w odległe przestrzenie mórz, by szukać zwodnego celu, którym jest krzyżak na mapie w otoczeniu grupki cyfr — szlakiem, kreślonym cienką linią na białej karcie papieru.

W maszynie cisza. Jedynie ko-

* Por. nr. 9 "Polski Walczącej" z b.r.

kolegów Bardzo Dalekiego Zasięgu, zjawiały się zaraz następne i choć atakowane zaciekle z powietrza i wody, dociskały coraz dokładniej żelazną obręcz patroli na Biskajach.

Przed sztabem niemieckiej admiralicji powstał problem, jak wyjść na Atlantyk? Jak przebić się przez sieć dozoru? Okręt musi wynurzyć się, by podładować akumulatory, musi wyjść na powierzchnię, aby odnowić zapas powietrza — lecz tam, w górze, czekają samoloty! Na niegroźny, prawie bezbronny w wynurzeniu okręt podwodny.

Uzbrojony więc okręty potężnie, sprzężoną bronią maszynową i dano rozkaz walki na powierzchni. Ale okręty ginęły. Zmieniono taktykę i nakazano walkę w szykach zaporą ognia. Okręty ginęły nadal. Przyszły czarne dni ofensywy podwodnej Niemiec. Wyjście w morze równało się prawie samobójstwu. Okręty bez przerwy tropione, atakowane i niszczone, trzymane w ustawicznym napięciu i gotowości bojowej, ogłuszone wzbuchami bomb, jeśli zdołały przedrzeć się na Atlantyk, zmęczone bezsennością i czuwaniem stawały się łatwym już lupem dla czekającej na nie Floty. I konwoje bezpiecznie przekraczały Atlantyk.

Czasy te, to najpiękniejszy epos bohaterski *Coastal Command*. Okręt przestał być wobec samolotu bezbronną masą żelaza, niezdołną do walki na powierzchni. Został uzbrojony i to w broń śmiertelną, tak groźną dla atakujących ją samolotów, jak torpeda dla statku. Kroniki *Coastal Command* zapełniły się opisaniami wstrząsających walk, gdy okręty gniecione wybuchem bomb tonęły, a obok nich w rozlewisku palącej się benzyny, płonęły zestrzelone przez nie samoloty. Zaczęła się walka "na wymianę": okręt za samolot, samolot za okręt. Walka bez litości i bez pardonu, w której decydowały tylko: śmiałość ataku, zręczność i determinacja. W której częstokroć atakujący i atakowany szli wspólnie na dno, zbratani śmiercią.

Skrzętni historycy spisujący dzieje tych wielkich dni oddadzą

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3569 książek

S.O.S.

Ruszyła sanitarka i ciężki wóz pożarny. Nad pobrzeżem lotniska wchodził w okrążenie "Wellington." Martwo chwiejące się podwozie, otwarte drzwi bombowe, dociskane wiatrem kłapy. Kładł się wolno w zakręt, ostrożnie. Podchodził do lądowania. Z *runway'u* zerwało się z wrzaskiem stado mew. Raptem na skraju lotniska dał gaz, zajął silnikami, zawył i poszedł nad głazami *runway'ów* w kierunku łąk, na bagna. I przerwał!!

Przyciężka, wysrebrzona rannym słońcem sylweta, przywarła resztką pędu do ziemi i szła, czesząc podmuchem wilgotne od rosy trawy. Aż w ciszę nastąpiła wdarła się łoskotem kraksa!!

Trąsnyły wysoko czarne strugi błota, przysnęły w górę bezwładnie już szczątki połamanych śmigieł. Błysnęły ogniem silniki i zgasły... Kto żył biegł ratować załogę. Mechanicy zżuli gumowe buty i wpadając po pas w bagno przedzierali się do maszyny. Leżała już cicha i bezwładna.

Z maszyny wyszedł pilot i siadł na kadłubie. Załoga żyła.

W "Operation" dzwoniły telefony. Pierwsza maszyna, która w tym okresie wróciła po walce — sensacja! Opatrywano rannego nawigatora i "spowiadano" resztę załogi. Grupa żąda szczegółów, i to natychmiast!

Mówili wolno, podniecając się w miarę opowiadania. Wrócili raniem z całonocnego patrolu. Świt wstawał szary i chmurny. Była godzina 6'30 rano. Z mroków uchodzącej nocy wylądował się cieniaki stratus naszpikowany grubymi kłębami cumulusów, jak polciami słoniny. Wtedy nawigator wstał od stolika i przeszedł do astra, otworzył mikrofon i powiedział: —

"Uwaga strzelcy, dobrze patrzeć, bo może być niebezpiecznie." A było to na wiele set mil od bazy.

I nagle stało się to, czego każda zwykle załoga oczekuje w każdej godzinie lotu, a czego nigdy później dokładnie odtworzyć nie potrafi: dostali ogień z chmur! W przerwie, między dwoma cumulusami.

Na czarnym tle chmur wylądowały się naraz smugi pocisków zapala-

"Wellington" dowódcę się do lotniska, resztką sił. 116 przestrzeżeń z działek i k.m., zablokowana przednia wieżyczka, zniszczone *astro* i zegary pilota. Zniszczone podwozie i hydraulika.

Tak wyglądała ta walka, typowa dla *Coastal Command*! Dzwoniły telefony do Grupy, niósły szczegóły, pozycje, fakty. I dopełniły obrazu zasadzki taktycznej wroga. Przełamały passę niepowodzeń.

W kilka dni później Polski Dywizjon Myśliwski w *Coastal Command* odniósł pierwszy, wielki triumf nad wodami Atlantyku, zestrzelując 5 "Ju. 88" i 1 "Me. 110" na pewno, prawdopodobnie 2, a 4 uszkodzając. Powtórzył go i powtórzyły go później /choć nie w tak bogatej osnowie/ Dywizjony Angielskie.

Wojna na Biskajach weszła w nowe stadium. Stadium, w którym niemiecka flota podwodna po wrocie do baz przebroiła się do nowej wojny i nowych warunków, jakie ostatnie miesiące stworzyły na Atlantyku. Do wojny radiowej.

Kiedys do tego powrócę, dziś jeszcze na to nie czas, ta karta wciąż leży otwarta. Można jednak już dziś powiedzieć spokojnie, że niemiecka ofensywa podwodna zalamana się ostatecznie i czasy sprzed roku w tej wojnie już nie wrócą. Wycięg nauki i techniki trwa, lecz nie ma takiej broni i nie ma takiego środka, którym by okręt podwodny mógł zasachować samolot. Dziś już nie istnieje możliwość, by okręt podwodny mógł niepostrzeżenie przejść przez Atlantyk. Samolot z baz lądowych zaczyna opanowywać morza!

Dywizjon nasz Ziemi Śląskiej, tradycję swą wywodzący z *Bomber Command*, lata w *Coastal Command* od maja 42 roku. W ciągu swej pracy rzucił na cele w Niemczech, Francji, na porty, okręty i okręty podwodne:

1,226,671 funtów bomb — *sapientisat!*

Stoczył 34 walki z myśliwcami wroga.

Atakował 21 okrętów podwodnych!

Z walk tych wielu wyniosło na piersiach krzyże i wiele krzyży ujęło w cień swój kolegów, którzy odeszli... Lecz wielu, bardzo wielu zostało tam, gdzie ni krzyża, ni znaku dla nich nie stanie, gdzie wiatry dzikie chłoseczą fale szalone. Wśród zimnych, spienionych wód Atlantyku.

Na WIELKIEJ WODZIE...

Pisane w Kornwalli, w listopadzie 1943.

JERZY GŁĘBOCKI

Żołnierze polscy we Włoszech

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Na komandosowskim szlaku



Polski "commando"

Za dwie, trzy godziny miał być świt. Nieprzyjaciel wciąż jeszcze trzymał pierwsze pasmo wzgórz. Po pięciu godzinach walki byliśmy wciąż w dolinie. Przeszliśmy przez oddziały brytyjskie i dochodziliśmy do podnóża góry. Należało opanować grzbiet dominujący nad wioską Sujo. Zadanie proste. Zadanie, o które się rozbiły dotychczasowe wysiłki.

Dowódca kompanii zdecydował, że nasz pluton pójdzie na tę robotę. Reszta kompanii otrzymała inną pracę. Od zdobycia tego grzbietu zależało dalsze powodzenie natarcia i możliwość łatwiejszego opanowania sąsiednich wyniosłości. Od powodzenia tej akcji uzależniony był stosunek sztabu dywizji do nas Polaków. Wreszcie od wykonania zadania zależały nasze życia.

W głowie szumiały mi słowa kapitana: "W pierwszym rzędzie

pamiętaj, aby wykonać zadanie." Każdy z nas musi wykonać zadanie, jakie mu jest powierzone, bez względu na to, co go czeka. Wykonać zadanie, wykonać zadanie, a przede mną prawie spadziła ściana tego wzgórza, porośnięta gdzieś tam dzikimi krzewami, gdzieś tam zaś pokryta porożycznymi głazami, cudem zwisającymi nad przepaścią. Bardziej w prawo łagodniejsza ściana na szerokość do stu metrów, dalej przepaść, po czym znów nowa ściana zbiegająca się z naszym wzgórzem gdzieś przy wiercholku.

Nie jeden już próbował podejść od tamtej strony, lecz bez powodzenia. A nieprzyjaciel stał się czujniejszy, choć był zarazem podenerwowany. Ogień jego stał się mniej celny, częstszy i częstokroć niepotrzebny. Byli to jednak weterani spod Stalingradu, uzupełnieni świeżym żołnierzem — jak zdążył

nam donieść nasz wywiad. Jednym słowem groźny i zacięty przeciwnik siedział w tym gnieździe nad naszymi głowami.

Szykowaliśmy się do pracy. Porucznik szepem wydawał ostatnie zarządzenia: — Drużyna trzecia w tyralierze w prawo — drużyna czwarta z lewej strony.

Tymczasem ubezpieczał nas *bren* czwartej drużyny — sam leżałem przy nim. Nasz "breniganista" był starym sportowcem, bokserem w dodatku i raz rozruszany stawał się strasznym zapaleńcem. Ja będąc flegmatykiem z natury hamowałem jego porywy. Jednym słowem uzupełnialiśmy się doskonale — jeśli dodam jeszcze, że "Bouboule" był trzecim w naszym zespole i jak oka w głowie pilnował swego towarzysza, ten zaś myśląc o "Bouboulu" miękl nieco i czekał na grubasa, a zarazem ubezpieczał jego posuwanie się.

R.k.m. naszej drużyny posuwał się na lewym skrzydle. Drużynowy był wszędzie gdzie tylko "coś" mogło być, choć zasadniczo trzymał się z resztą drużyny, z naszej prawej. Patrząc w górę widzieliśmy dokładnie zarys każdego kamienia i krzaka. Serca w nas zamaryły. Przez myśl przeszło mi pytanie, czy oni tam na górze równie dobrze widzą, jak i my. Nie powinni, bo to przecież noc... Ale ten księżyc co nam w plecy świeci?... Nie śmiałem odwrócić się do tyłu, nie chciałem przekonać się czy widzą. — I tak to nie pomoże — pomyślałem. Byłem raz jeszcze na stromym wzniesieniu, u którego szczytu leżało Zadanie.

Spod buta któregoś nas wyslizgnął się kamyk. Postacie nasze na chwilę zamaryły. Czy on tam posłyszal? Pytanie to przemknęło przez myśl nas wszystkich. C.k.m.-y grały w oddali z lewej i prawej, w dolinie moździerz, u nas panowała cisza. Cisza niezakłócona.

Po chwili ruszyliśmy dalej. Szliśmy coraz ostrożniej i coraz wolniej, a szczyt był coraz bliżej. Niebezpieczeństwo też się zbliżało, lecz nikt z nas już w tym momen-

cie o tym nie myślał. Sztylęty nasze wyraźnie zarysowały się na lewej nogawicy *battle-dressu*. Już ponad miesiąc bijemy się z nieprzyjacielem, a jeszcze ani razu nie było sposobności użycia noży.

Całkiem na prawym skrzydle trzecia drużyna z równą sprawnością posunęła się naprzód. Wspólnie zaczęliśmy docierać do ostatnich przeszkód dzielących nas od stosunkowo płaskiego szczytu. Ruch był coraz wolniejszy, postacie nasze przylepiały się do skałek, krzaczków coraz to rzadszych, a oczy dziwnie każdemu błyszczały. "Szansik" był chyba z nami — a może Niemcy nas tylko podpuszczali i zaraz z jednego z tych krzaków zioną ogniem.

Zaczęliśmy już iść prawie na czworakach. Przed nami stopniowo zarysowywały się nowe szczyty, potem góry całe. Siedzieliśmy na samym szczytce. Czyż by nieprzyjaciel się wycofał? A może wcale go tu nie było?

Zająłem stanowisko z lewej strony szczytu. Przede mną jakie dwadzieścia kroków piętrzyło się samotne drzewo. Wokół porastały krzaki, "Breniganista" i ja spoglądaliśmy w tę stronę. Od lewej, tuż nad wawozem ubezpieczał nas Antos. Zastanawiałem się, co dzieje się na naszym prawym skrzydle, ciekawilo mnie gdzie jest ich *bren* i co mają przed sobą.

Jeszcze te dwadzieścia kroków pozostało nam do przebycia. Może nam porucznik przesłał jakiś rozkaz w tym czasie? Wiedzieliśmy dobrze co mamy robić, a jednak oczekiwaliśmy czegoś, co nie nadchodziło. Czegoś było nam brak.

— *Hände hoch* — krzyk rozdarł ciszę nas otaczającą. Padła seria z *bren-gun'a* na naszym prawym skrzydle. Wiedziałem już gdzie jest Franek, ten stary wyjadacz z Legii Cudzoziemskiej, co tylko w diabła i swój *bren* wierzył. Wiedziałem również co on ma przed sobą.

— *Halt, wer da?* — odezwał się ktoś zza drzewa a za tymi słowami posypała się seria ze "Spandau'a."

— Ognia — rozkazałem i nasz *bren* splunął seryjką po seryjce. *Tommy-gun'y* zaczęły szczebrać a z tamtej strony zapanowała cisza. Coś *bren* trzeciej przestał grać — pomyślałem — pewno zacięcie. Wtem padł jeden granat, drugi i trzeci coraz to bliżej nas. Na nowo odszczeknęliśmy krótką serią. Jedną tylko, gdyż nastąpiło zacięcie.

Nowa cisza zapanowała. Z prawego skrzydła drużyna trzecia obchodziła stanowisko nieprzyjaciela. My mieliśmy w razie czego dać osłonę ogniową. Za niecałą godzinę nastąpi świt. Zaczynało już szarzeć.

Trzecia drużyna weszła na stanowisko nieprzyjacielskie. Kolejno zbadano każdy krzaczek i kamyk, lecz Niemcy uciekli porzucając broń i zostawiając dwa trupy. Ten "Frankowy" pierś miał rozdarta a na niej widniał *Eisernes Kreuz*. Parę kroków od niego porucznik schylony wraz z naszym doktorem udzielali komuś pomocy. Któryś z trzeciej widocznie został trafiony.

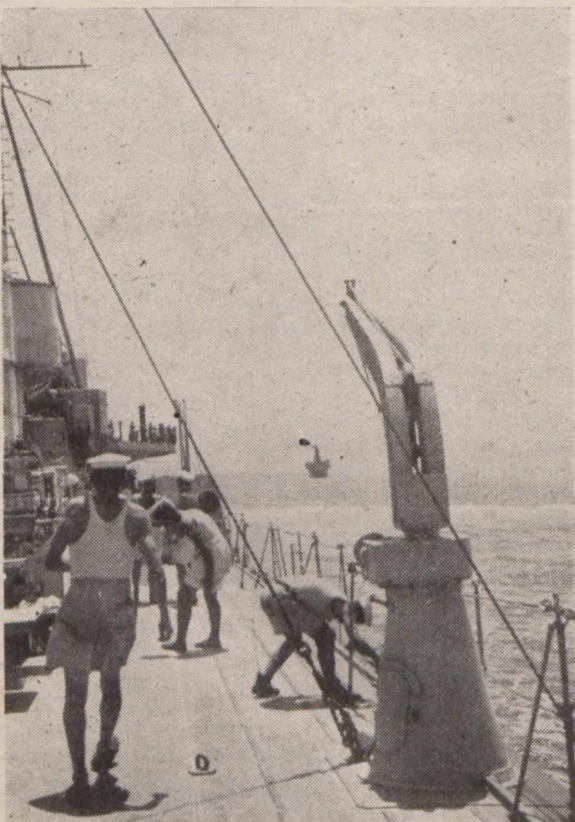
Pierwszy pluton zmienił nas na stanowiskach. Było już jasno. Szedłem wycpać gdzieś między krzakami czy skałkami. Po drodze napotkałem rannego — miał rękę przestrzeloną i kość złamaną. Był to nasz legionista Franek. Przystanąłem i spytałem jak to tam było.

— Ano tamoj siedzę za skałką, widzę naraz idzie gość w naszym kierunku i helm niemiecki zabylsł w świetle księżycy. Krzyknąłem *Hände hoch*, ale on szedł dalej, na to pociągnąłem za spust — trrr — seria poszła a on machnął koźlą w powietrzu i zrobił fik-fik. Rozglądałem się dalej i zobaczyłem następne, ale go jeszcze dobrze nie rozpoznałem, gdy wtem sam od niego dostałem i tylko: "Dżimi, bierz r.k.m." — zdążyłem zawołać i padłem."

Opatrzony Franek odszedł wolno do tyłu. A nas czekało tego dnia nowe zadanie, nowa góra i nowe natarcie.

JERZY JACHIMOWICZ

We włoskim porcie



Pokład polskiego kontrtorpedowca

We Włoszech, w lutym 1944

Kiedy do portu... przybywa większy konwój morski, a dzieje się to ostatnio co kilka dni, wtedy ruch panuje nie tylko w porcie, ale też i miasto zmienia swój codzienny, na pozór zdawało by się spokojny, wygląd. Przybysz, w mundurze żołnierza polskiego może nie spodziewanie wśród statków włoskich, angielskich, amerykańskich, francuskich, holenderskich i greckich zobaczyć znajomą banderę biało-czerwoną z polskim orłem.

Był taki dzień w porcie... kiedy stały w nim aż trzy polskie jednostki. Na molo, do którego przybił "Batory," panował wielki ruch. Wyladowywały się od samego ra-

na polskie oddziały.

Po kilkunastominutowym spacerze przekonałem się jednak, że "Batory" nie jest jedynym gościem polskim w porcie... Kolo mnie stało trzech rosyjskich chłopców o cęarach spalonych słońcem i wiatrem. Na marynarskich czapkach mieli napis: "Polska Marynarka Wojenna."

Rozpoczynamy rozmowę. Moi rozmówcy należą do załogi dwu polskich kontrtorpedowców: "Ślązak" i "Krakowiak." Przyjechali dziś, jako ochrona tego samego konwoju, w którego skład wchodził "Batory." Za parę godzin znów pewnie pojedą dalej. Tak od ośmiu miesięcy płyną od portu do portu na Morzu Śródziemnym, a o-

statnio ochraniają konwoje wiozące polskich żołnierzy.

Gdy rozmawia się z nimi dłużej, odnosi się wrażenie, że to jacyś inni ludzie. Bez przerwy są na morzu, walka z nieprzyjacielskim okrętem podwodnym, nieprzyjacielskim okrętem wojennym, czy samolotem — to ich żywioł. Choć okręty ich zarzucały kotwicę już w każdym porcie śródziemnomorskim, nie wiele z łądu widzieli. Przybijają do brzegu na kilka godzin tak jak dziś i natychmiast odjeżdżają. Od wielu miesięcy nie mieli urlopu. Na swych okrętach wożą wszystko, co jest im potrzebne do życia. Słuchają codziennie radia, zwłaszcza polskich komunikatów i w ten sposób wiedzą, co się dzieje na świecie. Gazety polskie przychodzą do nich rzadko, czasem trafi się jakaś w porcie. Od czasu do czasu wraz z pocztą z Londynu przyjdzie pakiet pism.

— Byliśmy w Rosji — opowiada mi dwu spośród nich. — Gdy zwolniono nas z więzień, mieliśmy 20 lat. Zgłosiliśmy się do wojska. Byliśmy w Kermine w t.zw. punkcie zbiorczym marynarzy i lotników i z pierwszą ewakuacją wyjechaliśmy do Persji, a stamtąd od razu do Anglii. Kurs w szkole morskiej trwał bardzo krótko. Więcej nauczyliśmy się w czasie samych działań wojennych. Brałszy udział w pamiętnej wyprawie komandosów na Dieppe. Później patrolowaliśmy konwoje, wzdłuż brzegów zachodniej Europy, a od ośmiu miesięcy pływamy po Morzu Śródziemnym.

— I nie nudzi się to życie? — Pewnie, że czasami chciało by się trochę wysiąść na ląd, ale morze ciągnie. Dziś już nie wyobrażamy sobie życia bez niego.

— Ciekawa rzecz — mówi jeden z nich. — Większość naszych załóg to właśnie młodzi, jak my, którzy morza nie znali. Jesteśmy z okolic dalekich od morza, ja ze Skierniewic, kolega spod Krakowa. Na-

szą ambicją obecna to dopłynąć na polskich statkach do Gdyni i zostać na Bałtyku. W czasie naszej pracy wiele skorzystaliśmy z uwagi i pomocy naszych kolegów — starych wilków morskich jeszcze z Polski. Patrzyli na nas początkowo z góry i nie dowierzali nam. Dziś jesteśmy zgraną i kochającą się gromadą.

Kierujemy teraz rozmowę na inne tematy. Jak wygląda wojna na morzu, niebezpieczeństwa.

— Teraz jest już prawie spokojnie — mówią. — Ale jeszcze do niedawna ciągle spotykało się okręty podwodne i samoloty nieprzyjacielskie. W czasie tych 50 tys. mil morskich, które nasze oba kontrtorpedowce przebyły /bo pływamy zawsze razem/, stoczyliśmy wiele walk. Mieliśmy na swym pokładzie bardzo wielu "gości" niemieckich z zestrzelonych samolotów lub zatopionych okrętów.

Jeden okręt podwodny goniliśmy kilka dni od brzegów Malty do Gibraltaru. Żeby zatopienie okrętu lub zestrzelenie samolotu zaliczyć na swoje konto, trzeba przywieźć namacalne tego dowody. "Ślązak" jest teraz na pierwszym miejscu spośród wszystkich alianckich kontrtorpedowców w klasyfikacji zatopionych okrętów podwodnych nieprzyjaciela.

Do rozmowy wtrąca się trzeci "wilk morski." Wyjechał z Polski przed dziesięć laty do Kanady. Gdy tylko wybuchła wojna, zgłosił się z wielu innymi Polakami do wojska jako ochotnik. Brał już udział w osłanianiu ewakuacji wojsk brytyjskich i innych z Dunkierki w r. 1940. Później przeniesiono go do załogi polskiego okrętu i od czasu Dieppe losy jego są takie same, jak i dwu pozostałych kolegów.

— Opowiedzcie coś panu o Sycylii, o desancie na Włochy. To na pewno pana zainteresuje — mówi.

Słuchamy.

— Ilekroć zdarzy się nam wychodzić w morze, nigdy nie wiemy, kogo eskortujemy i dokąd jedziemy. Tak się dzieje codziennie. Dopiero na pełnym morzu podają nam kierunek. Gdy płynęliśmy z Afryki Północnej w kierunku Sycylii i zobaczyliśmy olbrzymie ilości okrętów z wojskiem, domyśliliśmy się, że zanoszą się na coś wielkiego. Wspaniale to było zorganizowane. Anglicy popłynęli w jedną stronę, Amerykanie w drugą. Lądowanie zaczęło się w nocy. Ogień artylerii był tak silny, że całe działanie było widać jak na dłoni. W czasie desantu pod Salerno powtórzyła się ta sama historia, tylko że poszło już łatwiej i prężej. Od tego czasu spotykaliśmy już coraz mniej nieprzyjacielskich jednostek w powietrzu i na morzu.

Słuchamy z zainteresowaniem jeszcze innych opowiadań. Są to rzeczy na ogół znane z komunikatów i reportaży, a jednak ciągle ciekawe, mające jakiś inny koloryt, bo słyszane od ludzi, którzy widzieli to na własne oczy i byli współaktorami tego wydarzenia.

Na mundurze "Kanadyjczyka" dostrzegamy zaszczytne odznaczenie — Krzyż Walecznych.

— Przypał mi go osobiście Naczelny Wódz gen. Sosnkowski w Aleksandrii. Była to dla mnie niezapomniana chwila.

— Tak — dodają natychmiast z ożywieniem pozostali koledzy. — Naczelny Wódz spędził u nas z gen. Anderssem kilką godzin. Troskliwie wypytywał nas o wszystko. Dużo jeszcze na pewno można by ciekawego usłyszeć od tych dzielnych chłopców, ale robi się ciemno. Im śpieszy się na statek, bo za chwilę może paść rozkaz odjazdu, a ja muszę szukać... autostopu, bo z tym środkiem lokomocji nie prędko się chyba pożegnamy.

— A więc koledzy do zobaczenia w... Gdyni.

RYSZARD MOSSIN

Dla Polaków w Rosji: £10,815

The Editor, "Fighting Poland," London,
Dear Sir,
I enclose cheque for £66.5.0, being donation to the Women's and Children's Relief Fund from the Alyth (Perthshire) Group of the Scottish Polish Society.
I shall be glad if you will have it forwarded for the relief of Polish women and children.
Might I say that at this time last year we sent a similar sum. The money has been raised from a whist drive, from the sale of free gifts given by Mrs. Yeaman, Mrs. Gunia, and from a "perm" gifted by Mrs. Janiszewska. The whist drive was organised by Miss Wilkie, Mrs. Lindsay and Mrs. Lamond, with Miss Edwards and Miss Todd as Joint Secretaries and Treasurers.
Yours sincerely
John McIntosh

P.S. The sum of £5 has been forwarded to the Polish Prisoners of War Fund through the Secretary in Edinburgh.

Łączną sumę zbiórki w dziesięcym numerze £66.5.0 /słownie: sześćdziesiąt sześć funtów, pięć szyl./ przekazałmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,815.17 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt funtów, jeden szyling, siedem pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pensów hiszpańskich, 51 dolarów amerykańskich, 15 czerwienców i 100 milrejsów brazylijskich.

MARYNARKA WOJENNA NA "POLISH CHILDREN RESCUE FUND"
Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £200 /słownie: dwieście funtów/ na Polish Children Rescue Fund.

With many thanks to Mr. H. W. Henderson /Glasgow/ for sending me 10 copies of the pamphlet "The Polish Conspiracy?" I am offering sh.10 for the "Relief Fund for Polish Children in Russia."

Sumę £200.10.0 /słownie: dwieście funtów, dziesięć szyl./ przelałmy do Polish Children Rescue Fund.

* RYSZARD ŻYGA ur. w r. 1923 w Przeworsku, zamieszkały do r. 1939 w Tarnopolu, poszukiwany jest przez swych rodziców. Wiadomości prosimy podać do Redakcji "Polski Walczącej."

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej," Wysłałem 15 książek polskich na adres redakcji "Polski Walczącej" w celu przekazania dla naszych żołnierzy na Bl. Wschodzie.
Załączone: J. Pietrkiewicz: "Pochłopsku" /2 egz./, MacCallum: "Nauka angielskiego," W. Przyborowski: "Szwedzi w Warszawie," B. Prus: "Placówka," K. Wybranowski: "Dziedzictwo," T. Katelbach: "U kresu drugiego etapu," A. Fiedler: "Dywizjon 303," H. Sienkiewicz: "Potop," A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz," B. Leitgeber: "Londyn, oblicze i maska," Z. Nowakowski: "Rubikon," O. Laskowski: "Jan III Sobieski" /2 egz./
pchor. Walenty K.
oficer oświat. . . Pułku Panc.

Dla Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie anonimowo: "The National Geographic Magazine."

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3569 książek.

Na "paczki od serca": £2,266

Wojskowa Czołówka Teatralna "Lwowska Fala" przelała jako rezultat zbiórki w czasie pierwszych przedstawień nowego programu "Początek końca" w obozach Wojska Polskiego £98 /słownie: dziewięćdziesiąt osiem funtów/. Szczegółowe zestawienie ogłosimy później.

Ministerstwo Informacji i Dokumentacji przesyła w załączeniu P.O. na sumę £1.9.0 /jeden funt i dziewięć szylingów/ na Polaków w niemieckiej niewoli.
Suma ta została zebrana podczas odczytu p. Zajczkowskiej w Llandudno /Walia/.

P. JAN JANCZAK, który był w Rosji, proszony jest o podanie adresu do redakcji "Polski Walczącej." Osoby, które by mogły udzielić o nim jakichś informacji proszone są o zgłoszenie się.

Redakcja "Polski Walczącej," Londyn,
W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na kwotę £11 sh.7 d.5.
Kwota powyższa powstała drogą urzędowej imprezy przez 1 i 2 P.A. Mot. z przeznaczeniem na paczki "od serca" dla jeńców wojennych w Niemczech.
Oficer Oświatowy W.M.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Dając skromny wyraz pamięci o imieninach mojej żony, w załączeniu przesyłam sh.10 na "paczki od serca" i pozostaje z głębokim poważaniem L.Z.

Łączną sumę zbiórki w dziesięcym numerze £111.6.5 /słownie: sto jedenaście funtów, sześć szyl., pięć i pół pensa/ przekazałmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojskowym Stowarzyszenia Służby Społecznej Stowarz.

KONKURS NA UTWÓR SCENICZNY

Związek Artystów Scen Polskich, Gniazdo Londyn, rozpisuje konkurs na utwór sceniczny, przeznaczony do wystawienia w jednym z czynnych obecnie teatrów polskich /wojskowe czołówki teatralne, teatry objazdowe i t.p./.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich autorów polskich.
Temat, charakter i rozmiar utworu — dowolny.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 1-go czerwca 1944 r. /miarodajna jest data stempla pocztowego/.
Prace należy nadsyłać pod adresem Z.A.S.P.-u, Gniazdo Londyn, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Każda nadesłana praca winna być podpisana godłem. Do każdej przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z imieniem, nazwiskiem i szczegółowym adresem autora. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stającego do konkursu.

Za najlepsze prace będą przyznane następujące nagrody pieniężne:

- pierwsza nagroda Z.A.S.P.-u £50
 - druga nagroda Naczelnego Wodza £30
 - trzecia nagroda Min. W.R. i O.P. £25
- Jury ma prawo nieprzyznania pierwszej nagrody, względnie podziału jej pomiędzy kilku autorów. Ponadto może wyróżnić pewną ilość prac.

Egzemplarze utworów nagrodzonych i wyróżnionych pozostają w archiwum Związku, co w żadnym stopniu nie ogranicza praw autorskich zastrzeżonych ustawą. Utwory nienagrodzone i niewyróżnione zostaną zwrócone na imienne żądanie autorów nie później, niż w dwa miesiące po ogłoszeniu wyniku konkursu.
W skład jury konkursu wchodzi: Wiktor Budzyński, Miła Kamińska, Maria Kunciewiczowa, Zygmunt Nowakowski, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Szymonowicz, Tymon Terlecki.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

"ZATORY POD PSKOWEM"



PRZEMIANY
W związku z wytworzoną sytuacją przysłowie: "siedzieć jak na tureckim kazanu" przestało być aktualne. Natomiast coraz częściej mówią w Ankarze: "siedzimy jak na alianckim kazanu ..."

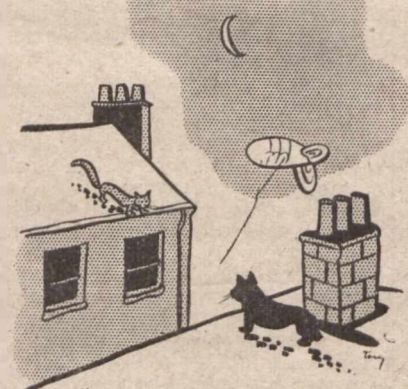
NOWE PRZYŚŁOWIE
... "wyszedł jak Badoglio na flocie ..."

TRUDNY JEZYK

—Wie pan, który naród najtrudniej pojmuje język angielski?
—???

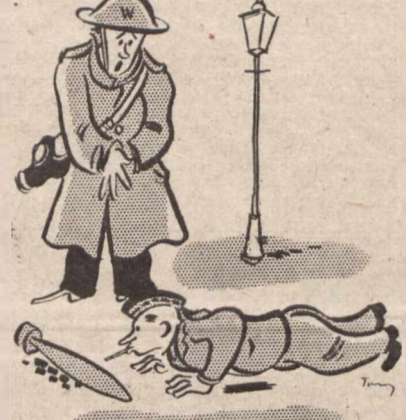
—Turcy! Nie mogą w żaden sposób dogadać się z Anglikami ...

MARZEC W LONDYNIE



—Czy przyjdiesz do mnie?
—Chyba po alarmie. Dzisiaj robie "fire-watchera."

SZKOT W CZASIE NALOTU



—Czy pan zwariował? Co pan robi? Przecież to bomba zapalająca!
—Właśnie chcę odpalić papierosa!

NIE ZROZUMIAŁ

Do Londynu przybył na urlop polski żołnierz ze Szkocji. Szuka mieszkania. Odwiedził już domy noclegowe a nawet hotele. Wszędzie zajęte. O północy stoi zmartwiony na ulicy.

—Pan szuka mieszkania? — pyta jakaś Angielka.
—Tak!
—To proszę iść do "Women Voluntary Service."
—Dziękuję, ja już wolę zapłacić!

AUTENTYCZNE

W czasie ostatniego "Blitz'u" na Londyn, jeden z Polaków biegnie z kubłem wody w stronę palącego się domu.

- Dlaczego pan się tak denerwuje? — pytają "fire watchers."
- Na trzecim piętrze pali się!
- No to co?
- Pali się! Jeszcze można ugasić!
- Szkoda! Dom jest asekurowany
- odpowiada właściciel kamienicy.

SKĄD SIĘ WZIAŁ W POLSCE "GEN." ROLA?

—Ani z roli, ani z soli, tylko z tego co nas boli! ...

W HYDE PARKU



—Jego to pan nie widzi, tylko mnie! ...

POD WRAŻENIEM NALOTÓW



—Czy uspokoisz się duszko? Bo jeśli nie, to cię zbombarduję ...

POZYTECZNA OSZCZĘDNOŚĆ

W barze dworcowym w Edynburgu, Polak zwraca się do barmanki:
—Sorry, dlaczego tu są tak małe porcje whisky?
—Ażeby nikt się nie spóźnił do pościgu ...

PIERWSZE ZDOBYCZE Z WŁOCH

—Czy pan uwierzy, że Anglicy po zdobyciu Sycylii i południowych Włoch są bardzo skwaszeni?
—Dlaczego?
—Cała Anglia jest obecnie zasypana cytrynami ...

Tekst i rysunki: TONY

White Eagle Club organizuje w piątek, dn. 10-go marca r.b.

wieczór autorski JANUSZA LASKOWSKIEGO, który w najbliższych dniach uda się na front włoski, jako korespondent Kwatery Prasowej Polskich Sił Zbrojnych i korespondent "Polski Walczącej"

Wieczór zagaj: Antoni Bogusławski. Początek o godzinie 18,30 /6,30/. Wstęp wolny. Dobrowolne datki przeznaczone na Fundusz Pomocy Jeńcom.

P. TADEUSZ PRUS BUGAYSKI, ANTONI ODROWĄŻ oraz p. IGNA-CY FALKOWSKI proszeni są o podanie aktualnych adresów do redakcji "Polski Walczącej."

SPIS RZECZY:

Stefan Gazet: Tygodnie, miesiące, lata ... — Zbigniew Grabowski: Szkie sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Maria Brzeska: Polska — żywymi oczami. Matka i dziecko. — Ludwik Bojczuk: Rozmówki z aliantami. — Jerzy Głębocki: Nad wielką wodą /II/. — Żołnierze polscy we Włoszech /Jerzy Jachimowicz: Na komandosowskim szlaku. Ryszard Mossin: We włoskim porcie/. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Poszukiwani. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

POSZUKIWANY KIEROWNIK do poważnej firmy londyńskiej do emalowania saletra. Pożądana znajomość kruszenia, mielenia i topienia metali. Stała posada, odpowiedzialne stanowisko. Zgłoszenia cisła poufne do Administracji Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza pod "Box 8a1.1."

Przyjezdni do Blackpool mogą znaleźć doskonale polskie potrawy w restauracji przy ulicy Titanics, 4, Cheapside.

Ukaż się
SŁOWNIK WOJSKOWY ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI
oprawny w płótno w formacie kieszonkowym.
Zawiera około 16,000 słów i zwrotów, obejmujących słownictwo ogólnotaktyczne i techniczne wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa z uwzględnieniem gwary wojskowej, jak również ordery i oznaczenia polskie i brytyjskie, porównanie miar i wag oraz temperatur.
Cena Słownika: 6 sh.
Słownik można nabyć przez oficera gospodarczego danej jednostki wojskowej lub bezpośrednio w Centralnej Komisji Regulaminowej — Polish Forces P/66 — po przesłaniu należności w formie Postal Order (bez wymienienia odbiorcy).

KSIAZKA HISTORIOZOFICZNEJ PROGNOZY
5-te obozowe wydanie książki:
(2-gie Wydanie w Anglii).
STANISŁAW SZCZEPANOWSKI
"WALKA NARODU POLSKIEGO O BYT"
Londyn, 1943r. 331 stron — cena: 10sh.
obejmuje prace:
"IDEA POLSKA WOBEC PRĄDÓW KOSMOPOLITYCZNYCH" — "RACJONALIZM NARODOWY" i szereg innych
Do nabycia:
w kioskach i księgarniach polskich. — Księgarnie przez hurtownie: Simpkin & Marshall (1941), Ltd., Amen House, Warwick Square, E.C., London.
Urywki z głosów prasy:
"DZIENNIK ŻOŁNIERZA" (Glasgow) z dn. 8.10.42 r.: pod tytułem: "Książka — Skarbnica Polskiej Myśli Twórczej" pisze: "Należałoby wyrazić życzenie, by każdy żołnierz polski po poznaniu wartości tej książki, zanosił ją w plecaku do kraju."
MYŚL POLSKA (Londyn) z dn. 15.5.43 r. pisze: "Szczepanowski jest jednak autorem żywym, t.j. wywołującym u czytelnika sprzeciw i dyskusję. Jest szereg takich punktów, które wydają się dla przebrzmiałe i nieprzekonywujące. Ale są one drobiazgiem w zestawieniu z ogromnymi walorami myśli Szczepanowskiego ..."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
58/Hyde, London, W.C.1